

Pająk
[Dark]
autor: Malvagio

Zealous Fang był królem świata. A przynajmniej jak takowy się czuł, co w jego mniemaniu czyniło go jak najprawdziwszym władcą. Z wysokości swojego scenicznego tronu spoglądał na zgromadzony na manhattańskim placu tłum kuców i nie tylko, skandujących w ekstazie jego „imię”. Płynące z jego strony uwielbienie wręcz odurzało, niczym najlepszej jakości alkohol. Niewielu rzeczy pragnął tak bardzo, jak upijać się nim wciąż i wciąż od nowa, na każdym kolejnym koncercie.

Oblizał usta, przybliżając do nich trzymany skrzydłem mikrofon.

– Jak się bawicie, Manhattan?! – ryknął, podchodząc do krawędzi sceny.

Entuzjastyczny odzew poświadczył tylko to, co i tak doskonale wiedział. Fang spojrzeniem złowił jednak w jego trakcie kogoś, kto wydał mu się znajomy. Potrzebował na to chwili, ale w końcu rozpoznał klacz o czerwonym umaszczeniu, która od co najmniej trzech koncertów przeciskała się niemal pod samą scenę, by znaleźć się jak najbliżej niego. Teraz również zajęła charakterystyczne dla siebie miejsce, podskakując w miejscu i piszcząc niczym źrebię po otrzymaniu ulubionego cukierka. Ogier uśmiechnął się, obnażając nieco kły, od których zaczerpnął swój artystyczny pseudonim. Doskonale znał ten typ; fanki, które z miłości dla swojego idola gotowe były zrobić wszystko. *Absolutnie* wszystko.

A on był w stanie sprawić, by dały z siebie jeszcze trochę... a nawet o wiele, wiele *więcej*. Więcej nawet, niż same tego *chciały*.

– Ostatni kawałek dedykuję karmazynowej ślicznotce z pierwszego rzędu! – obwieścił, przed cofnięciem się znad krawędzi puszczając jeszcze oczko do klaczy.

Nawet z wysokości sceny widział, że już należała do niego. Złowił kolejne trofeum do swojej kolekcji, nawet jeśli klacz nie zdawała sobie z tego jeszcze w pełni sprawy. Po koncercie nie będzie w stanie odeprzeć pokusy, by odnaleźć go w jego hotelowym pokoju. A on będzie czekał... i w stosownej chwili zaspokoi swój apetyt na te kilka rzeczy, których pragnął oprócz upijania się uwielbieniem.

Zealous Fang był *łowcą*. Musiał nim być, jak każdy, kto osiągnął jakikolwiek szczyt. Nie zamierzał wypierać się swojej własnej natury ani narzucać jej ograniczeń. Nie znaczyło to również jednak, że utożsamiał się z pierwszymi lepszymi drapieżnikami, ścigającymi swoje ofiary. Nie, siebie postrzegał jako kogoś lepszego, myśliwego nowoczesnego, idealnie przystosowanego do dżungli equestriańskiego społeczeństwa. Kogoś, kto potrafił umościć się w nim wygodnie i czekać.

Po cóż bowiem miałby męczyć się polowaniem, gdy zwierzyna, jedynie delikatnie zachęcona, sama mogła wkraczać do jego legowiska?

Fang uśmiechnął się szerzej. Te myśli były przyjemne, ale musiały niestety poczekać do końca występu. Wiedział, że nie powinien się teraz rozpraszać. Umówionym gestem skrzydła poinformował resztę zespołu, którym utworem pragnie pożegnać się z manhattańską publiką. Tłum na chwilę uciszył się na tyle, że zdołał

usłyszeć uderzające o siebie pałeczki, poprzedzające pierwsze dźwięki perkusji i następujące po nich gitarowe riffy. Z ustawionych na scenie głośników popłynęła muzyka.

– *Wkradnę się w twe serce i zatopię w nim kły, miłości tylko pragnę, dzisiaj dasz mi ją ty...* – zaśpiewał, nie odrywając wzroku od upatrzonej ofiary, która w swym urzeczeniu odpłacała mu podobną monetą.

Teraz śpiewał tylko dla niej, roztaczając wokół niej utkaną z pięciolinii sieć.

Po zakończeniu koncertu i związanych z nim ostatnich formalności – wyłącznie tych, przy których jego obecność była *absolutnie* niezbędna – Fang udał się do przydzielonego mu pokoju. Po cichu liczył na to, że już teraz zastanie swoją zwierzynę warującą wiernie na progu lub w jego pobliżu, póki co musiał jednak obejść się smakiem.

– Co się odwlecze... – mruknął cicho, skinieniem głowy pozdrawiając stróżującego na korytarzu ochroniarza. Poinformował go również, iż dzisiejszego wieczora oczekuje gościa, po czym zamknął za sobą drzwi.

Teraz pozostawało mu już tylko uzbrojenie się w cierpliwość. Był pewny swego, co wyrażał dobitnie przyklejonym do pyska pyszałkowatym uśmiechem. Nie widział sensu w podejmowaniu jakiegokolwiek działania, opadł więc jedynie na łóżko, wyobrażając sobie nadchodzące chwile przyjemności.

Chwile, które jednak uparcie nie chciały nadejść. Fang cierpliwie czekał, ale po upłynięciu niemal godziny nawet jego zaczynała w końcu pochłaniać irytacja. Gdzie, do cholery, była ta mała? W myślach powtarzał to pytanie w najrozmaitszych wariantach. Czyżby się jednak przeliczył lub nie roztoczył swego czaru wystarczająco mocno? Zaklął pod nosem i, po przeżeniu jeszcze kwadransa, wstał z posłania, by zacząć nerwowo krążyć z jednego końca pokoju na drugi. Postronnemu obserwatorowi wydawałby się pewnie zamkniętym w klatce tygrysem.

Porównanie to wcale nie leżało daleko od prawdy.

Z marszowego kroku wyrwało go nagle stukanie do skrytego za kotarą okna. Fang w pierwszym odruchu pomyślał, że jego wielbicielka próbowała wkraść się tą drogą. W następnym skarcił sam siebie za tak niedorzeczny pomysł; karmazynowa klacz nie posiadała przecież skrzydeł. A zresztą, nawet gdyby je miała, z zewnątrz nie mogłaby przecież dojść do tego, który z licznych hotelowych apartamentów zajmował.

Ogier nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, ale dźwięki się nie powtórzyły – wyglądało na to, że ucichły równie szybko i niespodziewanie, jak wcześniej rozbrzmiały. Chcąc uzyskać absolutną pewność, że nie musi się nimi przejmować, Fang przygasił światło w pokoju, po czym gwałtownym szarpnięciem rozchylił kotary. Zgodnie ze swoimi przewidywaniami, za szybą zobaczył jedynie nocny półmrok, rozświetlany nieco blaskiem bijącym z niektórych hotelowych okien. Nie ujrzał

natomiast ani kłaczy, ani nikogo innego; doszedł do wniosku, że za hałasy musiał odpowiadać jakiś ptak, ogłupiony przez manhattańskie nocne życie lub jakiś podpity pegaz.

Westchnął ciężko. Niespodziewane zdarzenie na chwilę oderwało jego myśli od frustracji, ale teraz zdawała się ona powracać ze zdwojoną siłą. Muzyk poczłapał do znajdującego się na wyposażeniu apartamentu barku i wyciągnął zeń butelkę wina i dwa kieliszki. Nalał trunek do jednego z nich i przez chwilę nawet bawił się nim, ale nie skierował go do swoich ust. Ostatecznie przysiadł razem z nim przy stojącym nieopodal stoliku.

– Daję jej jeszcze maksymalnie dziesięć minut... – niemal warknął, przyglądając się uważnie szkarłatnej cieczy i swojemu odbiciu w szkle. – Dziesięć minut, nie więcej i idę szukać innej.

Dzisiejszą noc już od samego ranka zaplanował na porę łowów, a nie miał najmniejszej ochoty na porzucanie tych zamiarów. Jego... głód wrażeń stanowczo domagał się zaspokojenia.

Po upłynięciu mniej więcej połowy czasu, jaki wyznaczył, do uszu Fanga dotarły kolejne dźwięki, tym razem dobiegające od strony korytarza. Jego ochroniarz – tubalny głos nie pozostawiał w tej materii żadnych wątpliwości – rozmawiał z kimś, kto wyraźnie pragnął spotkać się z muzykiem. Niestety dla niego, druga osoba mówiła na tyle cicho, iż nie potrafił wyłowić jej słów. Spodziewał się jednak, że spóźniona duszyczka nareszcie postanowiła się stawić.

„W samą porę...” – pomyślał jeszcze, zanim rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zarządził, przywołując na pysk pełen pewności siebie uśmieszek. – Długo kazałaś na siebie cze...

Głos uwiązał Fangowi w gardle, progu apartamentu nie przekraczała wcale wyczekiwana zwierzyna, a perkusista jego zespołu, Crimson Star, z wyjątkowo kwaśną miną. Rozczarowanie tym spostrzeżeniem sprawiło, iż grymas błyskawicznie zagościł również na obliczu wokalisty.

– Musimy pogadać – stwierdził krótko przybyły, zamykając za sobą drzwi. Jego spojrzenie zatrzymało się na dłużej na spoczywających na barku drugim kieliszku oraz odkorkowanej butelce.

– Tak, spodziewam się gościa. – Fang zniecierpliwionym głosem uprzedził pytanie, do którego przymierzał się drugi ogier. – Musisz mi więc truć akurat teraz? Nie możesz poczekać, aż ruszymy dalej w trasę?

– Chcę pogadać właśnie o tym. – Crimson wskazał kopytem na puste naczynie. Przygryzł wargę i dopiero po kilku sekundach ponownie zabrał głos, poprzedzając jeszcze wypowiedź ciężkim westchnięciem. – Stary, błagam cię, musisz przystopować.

– Och, a z czym? – Fang uśmiechnął się bezczelnie, uderzając pytaniem w niewinne tony.

Perkusista syknął cicho i przysiadł po drugiej stronie stolika, kopyto przyciskając do jednej ze skroni.

– Doskonale wiesz, o czym mówię. A ja wiem, że lubisz się... *ostro* zabawić z panienkami... nie próbuj zaprzeczać.

– Nie zamierzam. – Pegaz zmrużył oczy. Z trudem powstrzymał się od cisnącego mu się na usta komentarza, że przyjaciel nie wie nawet *połowy*. – Do czego zmierzasz?

– Do tego, że prędzej czy później to *wyjdzie!* – niemal wybuchnął Crimson. Kopytem, zapewne zupełnie nieświadomie, zaczął wybijać nerwowy rytm o blat stolika. – Zachowujesz się tak, jakby coraz bardziej puszczały ci hamulce. Zespół jest coraz popularniejszy, przyciągamy coraz większą uwagę... to wszystko, co mam i nie chcę, żeby się skończyło. A już na pewno nie tak... nie przez taki skandal.

Fang milczał przez dłuższą chwilę, nie odrywając spojrzenia od przyjaciela. Zastanawiał się, czy zmierzał do próby szantażowania go, czy może rzeczywiście kierowała nim troska... i jak tak naprawdę był mu bliski i potrzebny.

– Stary, chyba nie chcesz mnie wyrzucić z ekipy, co? A może to pomysł Saffrona?

– Co? – Crimson sprawiał wrażenie zupełnie zaskoczonego. – Celestio, nie! Równie dobrze mógłbym po prostu go rozwiązać. Założyliśmy go razem i na mojej wachcie nikt nikogo nie będzie wyrzucał. A Saffron po prostu przysaffronił i powiedział, że ma to głęboko w dupie. – Uśmiechnął się słabo. – Po prostu spróbuj się pohamować, okej? Dasz radę nieco... zmniejszyć tempo?

W pierwszej chwili pegaz skrzywił się, ale w następnej westchnął i przytaknął. Obietnica w końcu nic jeszcze go nie kosztowała, a chciał jak najszybciej zakończyć tę dyskusję. Crimson mógł jeszcze w przyszłości zmienić zdanie lub zapomnieć o całej sprawie. Wystarczyłoby tylko odpowiednio się postarać.

– Spróbuję – mruknął. – Tylko ze względu na ciebie, stary. Ale jeśli myślałeś, że odwołam dzisiejszą zabawę, zapomnij. Już się za bardzo na nią nastawiłem.

– W porządku... – niechętnie zgodził się perkusista. – Posłuchaj, jeśli miałbyś z tym problemy, zawsze możemy poszukać jakiegoś innego towaru od spuszczenia pary. Albo dyskretnej pomo... – urwał w pół słowa pod wpływem spojrzenia, jakim obdarzył go Fang. Zadrżał. – Dobra, nie było tematu. Do jutra, stary. I błagam, nie szalej dziś zbytnio.

– Jasna sprawa – odparł pegaz, znów przywołując na pysk bezczelny uśmieszek. – Trzymaj się, Crims.

Gdy tylko drzwi za przyjacielem się zamknęły, wokalista pozwolił sobie na pełen frustracji ni to jęk, ni westchnięcie. Łatwo mu było powiedzieć, że nie zrezygnuje ze schadzki, ale stracił już tyle czasu, a klacz wciąż nie raczyła się pokazać. Zanosilo się na to, iż będzie musiał opuścić apartament i w przyspieszonym trybie rozejrzeć się za inną. Sytuacja burzyła mu krew w żyłach. Nigdy wcześniej tak okrutnie z niego nie zakpiono, nikt tak dotkliwie nie zranił jego miłości własnej.

Ku swojemu niezadowoleniu Fang spostrzegł, że skrzydła zaczęły mu nerwowo drzeć; nie potrafił jednak powiedzieć, czy był to jedynie efekt narastającej frustracji, czy swoją cegiełkę do tego dzieła zaczynał dokładać domagający się

zaspokojenia głód. Na parę chwil przygryzł mocno wargę, co pomogło mu nieco opanować tik, a w końcu oblizał się i wziął głęboki oddech.

Może wyciągał wnioski zbyt pochopnie? Mogło się jeszcze przecież okazać, że fanka przybyła pod jego pokój, ale nie mogła się doń dostać, gdy przebywał w nim Crimson, a teraz wciąż kręci się w pobliżu?

– Nie szkodzi zapytać ochroniarza... – rzucił sam do siebie.

Nim jednak zdążył wprowadzić to zamierzenie w życie, do drzwi po raz kolejny ktoś zapukał. Fang zastrzygł uszami; tym razem nie usłyszał wcześniej żadnej rozmowy. To mogło oznaczać, że za progiem czeka jedynie jego przyjaciel, powracający z jakąś sprawą, którą zapomniał poruszyć wcześniej.

Pegaz przewrócił wymownie oczami i tym razem pofatygował się, by samodzielnie otworzyć drzwi.

– Crims, skończyliśmy na dziś! – warknął, jeszcze zanim zdążył szarpnąć za klamkę. – Nie mam czasu, by dłużej...

Na korytarzu wcale nie czekał na niego przyjaciel, ani nawet ochroniarz, lecz upatrzona na koncercie klacz. Język skołowaciał mu w ustach, a on sam zamarł z chyba nie najmądrzejszą miną. Choć spodziewał się przecież przybycia wielbicielki i tak zdołała go zupełnie zaskoczyć.

– Zealous Fang! – pisnęła wyraźnie uradowana fanka, drepcząc w miejscu. – liiiii, nie mogę uwierzyć, że jesteś tak blisko, że to naprawdę *ty*! Pa-pamiętasz mnie, prawda? – spytała niepewnie; wahanie odbiło się nie tylko w jej głosie, ale też ruchach, niemal całkowicie wstrzymanych. – Nazywam się Starlight, och, ale o tym nie mogłeś przecież wiedzieć, w każdym razie musisz mnie pamiętać, na dzisiejszym koncercie śpiewałeś tylko dla mnie, w-wiem to!

Początkowy szok szybko ustąpił i zanim jeszcze klacz zdążyła skończyć mówić, muzyk odzyskał fason i obdarzył ją odrobinę butnym uśmiechem, obnażającym kły i trenowanym niedawno przed przyjacielem. Cofnął się nieco w głąb pokoju, gestem zachęcając fankę, by wkroczyła do środka.

– Oczywiście, że cię pamiętam! – zapewnił z doskonale odgrywaną (choć jedynie na poły) żarliwością. – Jakże mógłbym zapomnieć o takiej ślicznotce, wyróżniającej się z szarej masy tłumu? Gdy tylko cię złowiłem, wiedziałem, że jesteś warta, by śpiewać tylko dla ciebie... – stwierdził zalotnie, wywołując u klaczy krótki, oprawiony rumieńcem chichot.

Skorzystała z jego zaproszenia. Fang uśmiechnął się do własnych myśli. Nie silił się na bardziej wyszukane słowa, wiedział, że w tej chwili mógł mówić *cokolwiek*, a jego zwierzyna i tak rozpląwałaby się nad poświęcaną jej uwagą. Pewność podbudowana była wieloma doświadczeniami.

– Naprawdę nie-nie-nie wiem, co powiedzieć! – zaszczebiotała wielbicielka, przysiadając po stronie stolika bliżej drzwi wejściowych. – Marzyłam o takim zaproszeniu od... w zasadzie od pierwszego koncertu, na jakim byłam! – W tej chwili zalotnie poprawiła kosmyk grzywy, który opadł jej na oko. – Och, ale czy ja się w

ogóle przedstawiłam? Chyba nie... a może jednak? Tak czy inaczej, Starlight, eee, panie Fang, przepraszam za wcześniej, to dla mnie naprawdę wielki zaszczyt!

Muzyk znów się uśmiechnął, tym razem łagodnie, wręcz dobrotliwie. Z trudem powstrzymywał ekscytację przeplataną z niecierpliwością przed wykwitem na jego pysku. Musiał wytrwać w roli jeszcze tylko chwilę, już niedługo... Słuchanie szczebiotu klaczy utwierdzało go w przekonaniu, iż nie mógł wybrać lepiej, była *doskonała*.

– Darujmy sobie jednak tego „pana”, co ty na to? – spytał, by po uzyskaniu energicznego potwierdzenia, zaśmiać się donośnie. – Chcemy przecież miło spędzić ten wieczór, c'nie?

– Dlatego tu jestem – odparła Starlight, obserwując ogiera spod przymrużonych oczu. Znów poprawiła grzywę, choć tym razem nie zburzyła się ona w żaden sposób.

– Tak, właśnie dlatego... – Fang odwrócił się w stronę barku tak, by klacz nie mogła zauważyć drapieżnego błysku, jaki pojawił się w jego oku.

Ani tym bardziej niewielkiej, wyciągniętej z kieszeni pastylki, która wylądowała w jej kieliszku.

– Nic tak nie pomaga się rozluźnić, jak dobre wino – rzucił, przelewając trunek do naczynia. W tej samej chwili usłyszał, że klacz podchodzi do niego, a jeszcze chwilę później... że ociera się o jego ciało. – A mogę cię zapewnić, że pijam wyją... – Ogier umilkł w pół słowa, uciszony delikatnym ukąszeniem, które poczuł na szyi. Zagwizdał z uznaniem. – Mała, nie spodziewałem się, że zaczniesz z...

Coś było nie tak. Słowa znów uwięzły mu w gardle, a pokój zaczął wirować, coraz szybciej i szybciej. Pegaz poczuł, że nie jest w stanie utrzymać równowagi i runął na dywan niczym kłoda, przy okazji rozlewając też po tkaninie wino. Potem zaś zaczął spadać głęboko w ciemną otchłań.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, były oczy klaczy... rozświetlone drapieżnym błyskiem.

Fang nie od razu zorientował się, że odzyskał przytomność. Gdy przy akompaniamencie cichego jęku uniósł powieki, nadal otaczała go niemal nieprzenikniona ciemność. Nawet kiedy jego oczy zdążyły już do niej przywyknąć, wciąż dostrzegał jedynie zarysy przedmiotów w najbliższym otoczeniu. A jako że zwykł szczerzyć się wzrokiem godnym kota, fakt ten potęgował tylko jego niepokój.

Póki co *jedynie* niepokój. Zdawał sobie sprawę z faktu, iż został uprowadzony – ciasne więzy, które zaciskały się wokół jego obolałego ciała nie pozostawiały w tej kwestii żadnych wątpliwości – ale nie zamierzał wpadać w panikę. Cokolwiek wyobrażała sobie jego porywaczka... lub jej mocodawcy, nie mogli wiedzieć, że wcale nie był tak bezbronny, na jakiego wyglądał.

– Co to ma znaczyć?! – zawołał, choć wcale nie był pewien, czy w pomieszczeniu znajduje się ktoś jeszcze. – Żądam, aby natychmiast mnie wypuszczono!

– No, no, no, ocknąłeś się! – Do uszu Fanga z góry dobiegł znajomy, acz obco teraz brzmiący głos Starlight. Jego tembr uległ zmianie, zupełnie jakby klacz przemawiała w tonacji o kilka stopni niższej niż uprzednio. – Szybciej, niż się spodziewałam, a użyłam przecież większej dawki. Nie powiem, to robi wrażenie.

Muzyk uniósł głowę, ale nie zdołał dostrzec nawet niewyraźnej sylwetki porywaczki, manewr spotęgował jedynie promieniujący z czaszki ból. Zastanowiło go jednak umiejscowienie źródła dźwięku. Czyżby pomieszczenie, w jakim był przetrzymywany, miało więcej kondygnacji? A może porywaczka wdrapała się na jakiś regał?

– Nie tak łatwo mnie otruć – warknął, próbując poluzować nieco więzy. Trzymały jednak mocno. – Czego ode mnie chcesz, suko? I kim tak naprawdę jesteś, co?

Odpowiedział mu wyraźnie rozbawiony chichot, któremu towarzyszyło też wynurzenie się z ciemności dwóch jasnoróżowych punktów... oczu, które z całą pewnością nie należały do kucyka. Ich kształt zdawał się Fangowi dziwny, a nawet *obcy*, ale zidentyfikowanie przyczyny tego wrażenia wymykało mu się, ślizgając się po samej krawędzi jego świadomości.

– Bezczelny! – stwierdziła porywaczka bez śladów złości. – Gdybym miała ze sobą mydło, wyszorowałabym ci zaraz ten brudny język! – Po tych słowach znów się zaśmiała.

Pegaz otworzył już usta, by rzucić kolejnym wyzwiskiem, ale zanim zdołał wyartykułować choć jedno, poczuł, jak... coś... wślizguje się pomiędzy jego rozchylone wargi. Coś, czego nie był w stanie dostrzec w ciemności. Coś długiego, ruchliwego i pokrytego krótkimi włoskami, drażniącymi jego podniebienie i łaskoczącymi dziąsła.

Cała jego pewność siebie ulotniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie potrafił nawet zmusić się do próby zaciśnięcia szczęk, by chociaż zranić porywaczkę i zadać jej ból. Zrozumiał, że zadał niewłaściwe pytanie...

Czym ona była?!

– Nawet takich lubię, wiesz? Troszeczkę – kontynuowała „Starlight”, najwyraźniej sprawdzając stan jego uzębienia. Gdy dotarła do jego kłów, zacmokała z uznaniem. – Proszę, proszę, postarałeś się, są prawdziwe! Szczerze mówiąc, obstawiałam, że nosisz sztuczne... myślę, że pasowałyby ci o wiele bardziej – znów zachichotała, wyciągając przy okazji swoje „narzędzie” z ust ogiera. – Ostatecznie żaden z ciebie myśliwy, maleńki.

Fang przełknął głośno ślinę, nawet nie próbując ukrywać błyskawicznie narastającego w nim lęku.

– Czego ode mnie chcesz? – powtórzył zduszonym głosem.

„Starlight” zakłaskała językiem. Choć ogier nie mógł jej zauważyć, był niemal pewien, że pokręciła przy tym powoli głową.

– To, czego *ja* chcę, to, cóż, sprawa drugorzędna. Ale obiecuję ci, że zaraz przejdziemy i do tego. – Umilkła na moment. – W tej chwili istotne jest to, do czego wynajęła mnie twoja matka. Byłeś bardzo, *baaaardzo* niegrzeczny i w końcu straciła do ciebie cierpliwość.

– Moja matka przecież już nie żyje – wykrztusił z siebie pegaz, by natychmiast umilknąć, gdy włochata „kończyna” delikatnie wylądowała na jego ustach i na powrót je zamknęła.

– Ciii... nie przerywaj, wszystko tylko niepotrzebnie wydłużasz. – „Starlight” westchnęła przeciągle. – Mówię o twojej *prawdziwej* matce, oczywiście. – Fang zadrżał i poczuł, jak oblewa go zimny pot. – Prosiła mnie o przekazanie, że stałeś się zbyt nieostrożny, że twoje małe „łowy” i piosenki, tak na marginesie całkiem dobre, zaczęły przyciągać zbyt wiele uwagi... a doskonale wiesz, jak ona tego nie lubi, prawda? – W ciemności rozbłysły kły, obnażone w szerokim uśmiechu. – Tsk, tsk, tsk. Trzeba było słuchać wcześniejszych ostrzeżeń.

Fang spróbował raz jeszcze przełknąć ślinę, ale w jego gardle urosła już gęła tak wielka, iż nie był w stanie tego zrobić. Zaprzestał wszelkich prób wyswobodzenia się z więzów. Wiedział już, że wszelki opór był bezcelowy – nawet gdyby zdołał się uwolnić, wbrew wcześniejszym butnym przekonaniom, nie mógł myśleć o podjęciu walki.

Nie z takim wysłannikiem.

– Przepraszam! Nie... nie chciałem zdenerwować królowej-matki! – zaskomlał żałośnie. – Nie narażałem jej! Mogłem bezpiecznie ukrywać się na samym widoku! Kuce są *ślepe*, one nigdy nie domyśliłyby się prawdy!

„Starlight” nie odpowiedziała od razu, a jedynie – wciąż pozostając ukryta w ciemności – zmieniła swoje położenie. Jej ruchom towarzyszył cichy, wywołujący ciarki klekot. Różowe punkciki oczu znajdowały się teraz niemal idealnie nad uwięzionym ogierem.

– Och, mój mały głuptasku... – odezwała się w końcu z rozbrzmiewającą w głosie troską. – Obawiam się, że teraz już za późno na skruchę. Przez „przekazanie wiadomości” miałam przecież na myśli wymierzenie stosownej kary... i to bynajmniej nie grzywny. Wydawało mi się, że to oczywiste.

Gdy tylko wysłanniczka królowej skończyła mówić, nieopodal jej oczu pojawił się kolejny rozbłysk, tym razem magicznej aury o barwie odpowiadającej różowi tęczy. W jego blasku pojawił się niewyraźny zarys poskręcanego rogu. Fang zacisnął mocno powieki, szykując się na najgorsze, ale zakłęcie wcale go nie uśmierciło. Nie sprawiło mu nawet żadnego bólu, a jedynie rozproszyło jego własne czary, za którymi skrywał swoją prawdziwą postać.

Gdy różowa aura zgasła, na miejscu ogiera spoczywał spętany podmieniec o żółtych oczach i prędze w takim samym kolorze przecinającej mu pysk.

– Dlaczego...? – wykrztusił, niejako wbrew samemu sobie unosząc głowę, by spoglądać w stronę oprawcy.

„Starlight” znów zaniosła się cichym chichotem. A gdy tylko śmiech ucichł, nad jej oczami otworzyła się, rozstawiona nieco szerzej, na planie „V”... *druga para*.

– Ooooch, ponieważ tak właśnie *lubię*. Możesz mnie nazwać swego rodzaju... koneserką. – Ostatniemu słowu towarzyszyło młasknięcie sugerujące oblizywanie ust.
– Pytałeś mnie, czego od ciebie chcę... wierz mi, *nic* nie może równać się ze smakiem już nieco przetrawionej miłości, wydzieranej z innego podmieńca... więc taaak...

Ciemność rozpieczętowała się nagle, umożliwiając Fangowi ujrzeć wysłanniczki w pełnej krasie. Nie zdążył nawet krzyknąć. Bezskrzydła królowa jego rasy, obdarzona miast tego czterema długimi i krzyżującymi się, wyrastającymi z grzbietu pajęczymi odnóżami, runęła na niego z sufitu, wgrzyzając się łapczywie w jego ciało.

–...chcę się *NAJEŚĆ*!

Pajęczycza po raz ostatni przejechała językiem po kłach i usadowiła się wygodnie przed postumentem, na szczycie którego spoczywała sporych rozmiarów, zielonkawa sfera. Następnie przekrzywiła głowę najpierw na lewo, później na prawo, by ostatecznie zastukać w jadeitową kulę jednym z odnóży.

– Czy to działa? – spytała, nachylając się tak bardzo, iż niemal zaczęła wbijać pysk w obiekt swojego zainteresowania. – Hop hop? Słyszysz mnie?

Pod wpływem jej działań, a może pomimo nich, wewnątrz kuli zmaterializowała się nagle chmura ciemnego dymu. Przez chwilę wirował ona bezładnie, by ostatecznie ustąpić miejsca obliczu podmieńczej królowej o długim, cienkim niczym żądło rogu i grzywie o barwie miodu.

– Voras – przemówiła uprzejmie przywołana władczyni. Głos miała spokojny, ale zarazem suchy, znać było, iż nie czerpie z rozmowy przyjemności. – Jak mierniam, wykonałaś zadanie? – spytała, by niemal natychmiast skrzywić się odrobinę. – Uch... masz coś na twarzy, tam, po lewej. Wytrzymaj ją, bardzo cię proszę.

Pajęczycza przewróciła wymownie jedną parą oczu, ale zastosowała się do polecenia i przejechała kopytem po ustach i policzku. Tym, co tak zniesmaczyło jej rozmówczynię, okazał się być niewielki chitynowy okruch. Bez żalu odrzuciła go na bok.

– Już? – spytała, uzyskując potwierdzające potaknięcie. – No, to tak, sprawa załatwiona. Marnotrawny synalek nie będzie już więcej sprawiał kłopotów, Coucabeille. Wiadomość została przekazana. – Oblizwała się.

– Doskonale – W głosie drugiej królowej zabrzmiała cierpka nuta. – To była trudna decyzja, którą należało jednak podjąć. – Westchnęła. – Gdzie to się stało? Muszę jak najszybciej wysłać innego z moich synów, żeby go zastąpił.

Voras zachichotała, nie bez śladów nerwowości. Była niemal pewna, iż rozmówczyni nie spodoba się jej odpowiedź.

– W Manehattanie – rzuciła krótko.

Zgodnie z oczekiwaniami pajęczycy, pysk Coucabeille skrzywił się w wyrazie dezaprobaty. Zmrużone oczy tylko jeszcze mocniej ją podkreśliły.

– Ze wszystkich możliwych miejsc... – mruknęła, masując skroń. – I oczywiście nie poinformowałaś o niczym Farfalli?

Voras wzruszyła odnóżami.

– Nie interesuje mnie ani polityka, ani wytyczane przez was granice. Poza tym – dodała szybko, widząc, że w spojrzeniu rozmówczyni zagościł niezwiastujący niczego dobrego ogień – nie chciałam tracić czasu na użeranie się z nią. Chyba mnie rozumiesz?

– Aż za dobrze. – Coucabeille uśmiechnęła się kwaśno. – W porządku, załatwię to sama. Ale skoro tak lekce sobie ważysz nasze starania, bądź pewna, że na Sabacie poruszę tę kwestię. Resztę swojej nagrody otrzymasz w jego trakcie. Odrobina polityki dobrze ci robi – dodała, a choć w jej głosie nie dało się usłyszeć nawet śladu złośliwości, łowczyni podejrzewała, iż została ona jedynie znakomicie zamaskowana. – Żegnaj, Voras.

Zanim pajęczycza zdołała zaprotestować, czy powiedzieć choć słowo, kryształ znów wypełnił się dymem, by ostatecznie zmatowieć. Bez względu na to, co o tym sądziła, audyencja u Pierwszej dobiegła końca.

– Wiedźma – sarknęła, po czym za pomocą magii ściągnęła kulę z postumentu i ruszyła do sąsiedniego pokoju, gdzie czekał na nią biały kokon. Jego widok od razu poprawił jej humor.

Przed opuszczeniem miasta mogła jeszcze dokończyć posiłek.